

Nie podsunęliśmy nieszczęsnym masom żadnego psychodelicznego rozwiązania problemu biedy i niesprawiedliwości, przekazaliśmy im w spadku jedynie heroinę i kokainę. Dzieciaki, które mają więcej szczęścia, biorą *ecstasy* i na imprezach wpadają w taneczny trans – na pewno dobrze się bawią, nazywają to nawet „byciem na haju”, ale nie ma w tym chyba żadnego innego wymiaru kulturalnego. Narkotyki nie mają już nic wspólnego z książkami czy sztuką, nawet dzisiejsza muzyka jest dla ludzi z mojego pokolenia zbyt mechaniczna. Ostatnim ruchem młodzieżowym, jaki rozumieliśmy, był punk – ale punk był autentyczny jedynie przez chwilę. Potem narkotykowe pokolenie lat sześćdziesiątych musiało już przyglądać się dzieciom epoki thatcherowskiej, trzydziestoparolatkom obracającym fantastycznymi sumami pieniędzy i wciągającym kokainę, by utrzymać się w transie robienia kasy. Wiem, że w latach sześćdziesiątych narkotyki wielu ludziom spierdoliły życie, ale i tak mam wrażenie, że teraz ćpa się w sposób o wiele bardziej paskudny i bezsensowny.

* * *

Byliśmy też bandą ćpunów rozpustnych i hedonistycznych. Leżeliśmy na kanapach, ćpaliśmy, uprawialiśmy seks, słuchaliśmy muzyki, która wychwalała leżenie na kanapach, ćpanie i uprawianie seksu, i śpiewaliśmy hymny na cześć nowych, dobrych czasów. Jefferson Airplane, The Doors, Captain Beefheart, The Grateful Dead, Love, Hendrix, Country Joe and the Fish, Frank Zappa – wszyscy oni grali na naszą nutę aż z dalekiej Ameryki. Ich płyty docierały do brytyjskich sklepów, a myśmy je kupowali, kładliśmy na talerzach gramofonów, robiliśmy skrety na okładkach. Mieliśmy też muzykę rodzimą, choć nieco lżejszą, pozbawioną owej desperackiej nuty, która pobrzmiwała w muzyce amerykańskiej: Pink Floyd, The Who, Stonesów, Beatlesów, The Incredible String Band, The Small Faces, The Animals. Muzyka wiedziała, dokąd zmierzamy w naszych głowach, i podkładała nam ścieżkę dźwiękową. Bawiliśmy się przy niej. Ta muzyka może nawet była dla nas za dobra: upoważniała do tego, by siedzieć w domu, zasłuchać się i nic nie robić. Zmieniliśmy świat w tak znikomym stopniu właśnie dlatego, że – bez względu na to, co sobie powtarzaliśmy i jak mocno czuliśmy się ze sobą związani, siedząc razem – poszukiwania, które prowadziliśmy,

dla każdego z nas były osobnym, indywidualnym doświadczeniem. Były to w istocie poszukiwania wewnętrzne, prywatne i ciche, coś zupełnie innego niż dzisiejsze rozrywki, choćby powszechnie uwielbiane karkołomne sporty ekstremalne. Wpływalismy jednak na świat w nie większym stopniu niż ktoś, kto skacze na bungee. Zwyczajny świat zastanawiał się, o co nam chodzi. Nie akceptował nas, bał się nas, nasyłał na nas gliny – stwarzało to pozór, że jednak coś robimy. Byliśmy jednak tak skoncentrowani na własnym wnętrzu, na naszym głębokim „ja”, że nie osiągnęliśmy właściwie nic. Gdy myślę o późnych latach sześćdziesiątych, nie przychodzą mi do głowy żadne nowe idee, żadne wybitne książki ani obrazy – najwyżej parę okładek płyt. A choć muzyka była znakomita i niejednokrotnie nagrywana w kłębach marihuanowego dymu, nagrania realizowali zwykle trzeźwi technicy, a dystrybuowały je wielonarodowe firmy.

„To twój problem, stary...” – tym znaczącym komentarzem kwitowano spory pojawiające się wówczas, gdy miłość, harmonia i nowa rzeczywistość nie radziły sobie z umyciem wanny lub zmywaniem naczyń. Ton głosu, jakim je wypowiadano, znaczył mniej więcej tyle: każdy z nas musi wziąć odpowiedzialność za zadowolenie własnej duszy, a nie narzucać swoich ograniczeń innym. Na co dzień oznaczało to, że ten, kto chciał mieć choć odrobinę porządku w kuchni, musiał zmywać po tych, co zostawiali brudne naczynia w zlewie. Tymczasowość ani przez chwilę nie stwarzała pozoru, że jest nowym sposobem bycia, pomijając oczywiście to, że nie mieliśmy stałej pracy ani nie szliśmy na wojnę. W Ameryce działały się wówczas znacznie poważniejsze rzeczy. Muzyka i narkotyki miały ulżyć w cierpieniu żołnierzom walczącym na wojnie bądź przypomnieć kombatantom, że ktoś inny ponosi winę za ich nieznośną egzystencję. Dla nas w Wielkiej Brytanii, bez względu na to, jak byśmy im współczuli – i jest to kluczowa różnica między nami i nimi, między naszymi i ich wspomnieniami z tych lat – jedyną wojną, w jakiej braliśmy udział, była wojna pokoleniowa.

* * *

W Covent Garden bawiliśmy się jak dzieci w policjantów i złodziei oraz kowbojów i Indian. Wymagało to sporej ilości sprzątanina. Chyba nigdy przedtem ani potem tyle się nie nasprzątałam. Ilekroć poszła plotka,

że zaraz wpadnie policja, by szukać narkotyków – a zdarzało się to kilka razy w tygodniu – trzeba było szybko, lecz starannie, poodkurzać podłogę i powycierać meble: wszystko po to, by usunąć okruchy haszyszu lub trawki, które wypadły, gdy robiliśmy skręty lub gdy zaprzyjaźniony diler odcinał uncjową porcję ze swojego bloczka. Znałam ludzi, którzy trafiali za kratki za okruszek haszyszu ominięty przez odkurzacza. Dla tych, co naprawdę szli do więzienia – znałam dwudziestopięcioletniaka, który dostał dwa lata za posiadanie kilku gramów – zabawa się kończyła. Większość z nas jednak dalej wiodła swój nielegalny żywot i z solenną rozkoszą, godną Zaginionych Chłopców z *Piotrusia Pana*, popadała w coraz większą paranoję i kształciła się w przestępczym slangu. Była to niebezpieczna gra. Byli tacy, co nie przestawali wstrzykiwać sobie metedryny, gdy zaczynała im szkodzić. Lekarze zajmujący się uzależnieniami robili obchody po niektórych mieszkaniach, prywatnie wypisywali stopy recept, a potem całymi kartonami znosiliśmy do domu biało-niebieskie dwunastoampułkowe opakowania ze znaczkiem firmy Burroughs Wellcome. Ludzie wariowali, popadali w ciężką chorobę. Nie da się opisać zjazdu po całowweekendowym ćpaniu metedryny. Przestałam ją brać, gdy zaczęłam widzieć robaki pełzające mi po całym ciele i nie mogłam ich złapać. W Covent Garden przez parę tygodni żyłam natomiast ze znacznie zdrowszym, bardziej zdyscyplinowanym chłopakiem uzależnionym od heroiny. Mieszkaliśmy we dwójkę w kuchni. Na podłodze rozkładaliśmy materac, a żeby było bardziej przytulnie, przykrywaliśmy go złotą, haftowaną narzutą. W tym okresie nałogowi narkomani rejestrowali się u lekarza ogólnego bądź w klinice i otrzymywali kontrolowane dawki heroiny. Pozwalało to na monitorowanie ich stanu fizycznego i umysłowego, a choć lekarzom zdarzało się przepisywać większe dawki niż powinni, nie powodowało to wielkiej nadwyżki heroiny na rynku. Ta polityka narkotykowa skończyła się w roku 1975. W 1971 było od 6 do 15 tysięcy nałogowych narkomanów; w roku 2002 ta liczba oscylowała już między 161 a 266 tysiącami. W 1968 roku wielki narkobiznes jeszcze nie istniał, z narkotykami nie wiązała się też zorganizowana przestępczość; czarny rynek opierał się głównie na receptach przepisywanych nielegalnie przez lekarzy. Kto potrzebował heroiny, mógł mieć ją za darmo. Mój chłopak codziennie robił zwyczajową rundę: szedł do lekarza, do apteki, robił sobie zastrzyki, a na nas,

nielegalnych, patrzył z góry. Nie lubił dragów. Mówił, że gdy widzi, jak robimy skrety lub zarzucamy kwas, robi mu się niedobrze. My byliśmy niechlujni, on ubierał się starannie i schludnie, codziennie mył włosy, utrzymywał regularną i prawidłową dietę, a swój sprzęt trzymał w czarnej skórzanej saszetce, z którą nigdy się nie rozstawał. Wychodził każdego ranka, nikt nie wiedział dokąd, i kręcił jakieś swoje interesy: tu wymienił, tam sprzedał, czasem to, co dostał na receptę – lecz bez włączania się do domów i nagabywania ćpunów na ulicy.

Gdy wychodził rano z domu, sprzątałam w naszej prywatnej sypialni i przekształcałam ją z powrotem w ogólnodostępną kuchnię. Ścieliłam łóżko i odstawiałam na bok skrzynkę po jabłkach służącą nam za nocny stolik. Gdy wracał do mieszkania, strzykawka, którą zostawił rano przy łóżku, była już czysta; każdego ranka po umyciu kubków po herbacie czyściłam ją w zlewie, zmywałam krople krwi i resztki narkotyku, płukałam starannie wrzątkiem, rozkręcałam i zostawiałam na suszarce, by wyschła. Dopiero po paru tygodniach zdałam sobie sprawę, że wypełniając te poranne obowiązki upodabnam się do kobiet samotnie łykających pigułki w willach na przedmieściach – kobiet, do których nie chciałam się nigdy upodobnić. Oczywiście tylko w przybliżeniu. Prowadziliśmy nasze poważne, poszerzające umysł gry, bawiliśmy się w piratów – ale też, jak wszystkie dzieci na świecie, bawiliśmy się w dom.